

Teatr nie może mieć jednej twarzy

Jeden z najbardziej znanych i szanowanych opolskich aktorów teatralnych obchodził właśnie 35-lecie pracy twórczej. 27 lat z tego czasu spędził w Opolu.

Bogdan Zieliński gra obecnie w Teatrze im. Jana Kochanowskiego, łącząc to z pracą w EkoStudio. Ma za sobą także występy w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora.

Adebiutował w Teatrze im. C.K. Norwida w Jeleniej Górze w 1981 roku.

Szybko jednak zamienił ją na Warszawę, gdzie między innymi w latach 1982-1989 występował w teatrze Rampa na Targówku. Potem przeniósł się do Opola.

ROZMOWA Z
BOGDANEM ZIELIŃSKIM
aktorem

ŁUKASZ BALIŃSKI: Zacznijmy od początku. Od tego opolskiego początku. Dlaczego właśnie Opole?

BOGDAN ZIELIŃSKI: Zaczynałem w Jeleniej Górze, wspominam ten czas jako sympatyczny okres. Dostałem tam nagrodę za debiut, co mnie zmobilizowało do szukania szczęścia w Warszawie. Gdy już doszło co do czego, to na decyzję miałem jeden dzień. Pojechałem, dostałem etat i zostałem na siedem lat w Rampie na Targówku. Pracowałem z ludźmi - jak to się dzisiaj mówi - z pierwszych stron gazet. Realizowałem się w każdej materii - i w teatralnej, i pozateatralnej, kabaretowej, w pracy z dziećmi....

Po siedmiu latach postanowiłem pojechać za żoną, która pochodzi z Opola. Tu trafiłem na początku na okres zawirowań związanych ze zmianą dyrekcji w Kochanowskim. Nie ma jednak tego złego, co na dobre nie wychodzi, bo wtedy pojawił się Krystian Kobylka z Opolskiego Teatru Lalki i Aktora, zaproponował mi etat i zostałem na parę lat. To też był świetny okres,

również w doborowym towarzystwie. W pewnym momencie uznałem jednak, że nadszedł czas na zmiany. Przeszedłem do Kochanowskiego.

I tak minęło 27 lat...

- Minęło jak jeden dzień. Może dlatego, że miałem mnóstwo zajęć, przyszła na świat dwójka dzieci, trzeba było zadbać o rodzinę, o dom, poświęcić się wychowaniu.

Do tego doszła współpraca z prywatnym teatrykiem „Wróbelek Elemelek”, na którym wychowaliśmy parę pokoleń dzieci na Opolszczyźnie, ale też we wschodnich krajach, takich jak Białoruś, Litwa, Ukraina, plus stała współpraca z radiem, kabaretem Teką, udział w reklamach. I tak jakoś ten czas minął. **Role komediowe, dramatyczne, praca w kilku opolskich teatrach. Trudno jest się tak przedstawiać, niemal z dnia na dzień?**

- To chyba tak jak często w życiu. Dla zdrowia psychicznego, dla samopoczucia trzeba znaleźć odskocznię. No i jak jest „płodozmian” to też zyskujemy pewnego rodzaju dystans. Poprzez realizowanie różnych ról możemy np. później odpowiednio odnieść się do komediowego czy dramatycznego wymiaru swojego grania, co bardzo pomaga w rozwoju.

W których rolach czuje się pan najlepiej?

- Nigdy się nad tym jakoś szczególnie nie zastanawiałem, ale myślę, że w komediowych. Zawsze też fascynowały mnie musicale. W nich aktor ma możliwość pokazania całej palety swoich możliwości, tego, jak gra, mówi, śpiewa, tańczy, praktycznie cały język teatru jest w tej formie zawarty. O to też się otarłem, gdy grałem w Warszawie. Tam się nahulałem, natańczyłem i w pewnym momencie powiedziałem sobie: „no to na razie wystarczy” i poszedłem gdzie indziej.

Są spektakle, z których czuje się pan szczególnie dumny, i takie, o których woli pan nie wspominać?

- Są role większe i mniejsze, ale ja nigdy nie miałem w sobie jakiegoś parcia, żeby oceniać, ustanawiać gradację - że ta rola jest lepsza, ta gorsza. Mam nadzieję, że jestem częstką realizowanych obrazów teatralnych.

Zdarzyło się panu odmówić zagrania jakiej roli?

- Powiem z otwartą przyłbicą, że raz. To było coś, co potem otrzymało nagrodę na konfrontacjach „za antyteatr”. Ja jednak po drugiej czy trzeciej czytanej próbie wstałem i podziękowałem (*śmiech*).

Z którym aktorem, aktorką, reżyserem najlepiej się panu pracowało?



Teatr powinien być książką, która się nie kończy. Powinno być i śmieszno, i straszno, i tragicznie, i tak, by się człowiek zastanowił

- Poznałem mnóstwo ludzi, dzięki którym mogłem spojrzeć z wielu stron na ten zawód i zacząłem go bardziej rozumieć, otwierały mi się oczy na pewne sprawy związane ze sceną. To ludzie do dziś rozpoznawalni, choć już dziadkowie (*śmiech*).

Na pewno dużo zawdzięczam Krystianowi Lupie, który był moim pierwszym reżyserem; grałem u niego syna w „Pieszo” Sławomira Mrożka. Praca była rewelacyjna. To był człowiek, który prowadził aktora od początku do końca, wiedział, co chce osiągnąć, jaki jest cel przedstawienia. Do tego był uczciwy, bo np. zdarzyło mu się przyznać, że jest nieprzy-



- Nie jestem żądny sławy ani wielkich pieniędzy, chciałbym wykonywać pracę u podstaw - mówi Bogdan Zieliński

gotowany i nie ma sensu robić próby, a w zamian za to zaproponował rozmowę, spacer, lody. I to jest piękne. Wiadomo, że każdy reżyser, każdy aktor jest inny. Ale jest na pewno dużo racji w tym, co właśnie on kiedyś powiedział: nie ma złych aktorów, są źli reżyserzy.

Jeśli jednak aktor przeszarżuje, zagra po swojemu?

- To się raczej zdarza rzadko, bo z tego mogą wynikać różnego rodzaju konsekwencje, łącznie z wykreśleniem z obsady.

Teatr teatrem, a seriale w pana CV też się pojawiały. Nie kusiło, by bardziej wejść w ten świat?

- Kusiło, pewnie że kusiło, ale trzeba niektórym rzeczom dać odpór i nie dać się (*śmiech*). Ten serialowy świat wiązałby się przecież z wyjazdem do Warszawy. W dodatku doszedłby wyścig szczurów, to przebijanie się, przeciskanie do pierwszego szeregu, a ja nie jestem żądny sławy ani wielkich pieniędzy. Ja chciałbym wykonywać pracę - jak to mówią - u podstaw.

Z drugiej strony gdyby ktoś zapukał z rolą, to czemu nie? Ale żeby się pojawił, to trzeba się najpierw pokazać i koło się zamyka. Nawet na castingi nie jeżdżę. Czasem dostaję gotową propozycję, w takich produk-

cjach jak „Pierwsza miłość”, „Świat według Kiepskich” czy „Fala zbrodni”. Pierwszym moim serialem było „07 zgłoś się”, potem „Modrzejewska”, gdzie poznałem Mieczysława Voita, który był niesamowitą figurą. Grałem z nim w spektaklu, w którym mówił przez trzy godziny, i cały czas zachodziłem w głowę, jak on to ogarnia.

Czuje się pan aktorem spełnionym?

- Najpierw musiałbym odpowiedzieć sobie na pytanie, co oznacza być spełnionym. Nie myślę tymi kategoriami. Gdybym był spełniony, to powinienem siedzieć w kapciach i bujać się na fotelu. Nie. Aktorstwo to

jest mój zawód. Chciałbym być takim rzemieślnikiem jak szewc, którego chwałą za to, że zrobił dobre buty - chciałbym zagrać tak, żeby nie musiał się wstydzić i by widzowie przyszli na spektakl nie raz, a kilka razy.

Ze swoim bagażem doświadczeń z pewnością widzi pan sporo w teatrze, czuje pan to, co się w nim dzieje. Jaka jest kondycja polskiego teatru?

- Dopóki polityka nie będzie wchodziła z buciarami w sferę kultury, to myślę, że teatr w swojej barwności, wielkości będzie miał się bardzo dobrze. Na pewno ingerencja osób, które naprawdę nie wiedzą, jak bardzo jest to uduchowiona materia, nie jest potrzebna.

Był czas, że chciał pan zostać dyrektorem w Kochanowskim. Jaka była wtedy pańska wizja?

- W Opolu trzeba robić teatr dla każdego, nie można rzucać się w jeden nurt. Dobrze by było, żeby każdy znalazł w teatrze coś dla siebie. Trzeba też wykorzystać wszystkie możliwości, jakie nie się z sobą zespół, a jego potencjał jest naprawdę wielki. Nie jest on, moim zdaniem, do końca wykorzystany.

Niedawno odbyła się wspólna premiera dwóch publicznych teatrów: Lalek i Kochanowskiego. Trudno nie zapytać: dlaczego trzeba było czekać na to tyle lat?

- Tego nie wiem, jednak moim zdaniem należałoby planować podobne przedsięwzięcia choćby raz na dwa sezony. Marzy mi się wspólne wielkie widowisko z udziałem przedstawicieli OTLiA, ale też filharmoników. Miejsce też mogłoby być nietypowe - choćby Staw Zamkowy; ma kapitalny potencjał. Można by stworzyć naprawdę piękną propozycję na sobotni wieczór. **Jaka jest dziś, pana zdaniem, rola teatru?**

- Teatr to życie, gdzie trwa odwieczna walka dobra ze złem, a widz musi sobie odpowiedzieć, kto tę batalię wygrywa.

Moim zdaniem trwa złoty czas dla teatru, tylko teatr musi mieć rzetelny produkt. Musi wyjść do ludzi. Są takie przedstawienia, które nie potrzebują wielkiej reklamy, a są takie, którym trzeba pomóc. Przecież teatr też nie może mieć jednej twarzy, teatr powinien być książką, która się nie kończy. Powinno być i śmieszno, i straszno, i tragicznie, i tak, by się człowiek zastanowił.

Jest jednak wiele innych pokus, choćby telewizja.

- Ależ proszę zauważyć, że ludzie coraz bardziej od odchodzą telewizji. A ostatnio znajomi mojego syna zaczęli mnie i pytali, kiedy będzie grana w Teatrze Ekostudio komedia, której premierę mieliśmy ostatnio, bo słyszeli, że jest dobra. Jeśli przyjdą i im się spodoba, to następnym razem pokażemy coś trudniejszego. Trzeba na początek robić teatr na miarę społeczności, w której się żyje, a potem podnosić coraz wyżej poprzeczkę, bo jeżeli od razu zaczniemy z góry, to byłoby trochę tak, jakby uczniowi z zerówki zadać tematy z piątej klasy. Taki odbiorca szybko się zrazi.

Jakie ma pan plany na przyszłość?

- Od dyrektacji teatru na 35-lecie pracy scenicznej i 27-lecie pracy w Opolu otrzymałem „prezent” - zamiast całego etatu mam już tylko jego ćwierć. Ale to osobny temat. Z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzę wszystkim, byśmy byli dla siebie dobrzy uczciwi i się szanowali „do końca świata i jeden dzień dłużej”, jak zakrzyknął klasyk. ●

ROZMAWIA ŁUKASZ BALIŃSKI